

Ninon Pytrus

Wspomnienia

Rocznik Wieluński 11, 75-82

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIA NINON PYTRUS

Do druku przygotował Adam Ustyniak

Ninon Pytrus urodziła się w 1923 r. w rodzinnym majątku ziemskim Sławczynięta (powiat wilejski, gm. Wiszniew) na Wileńszczyźnie jako córka Tatiany Czynczuk i Władysława Prudo-Chlebosza, który został aresztowany na przełomie 1940/41 r. przez NKWD i już się nie odnalazł¹. Uczęszczała do Gimnazjum Sióstr Nazaretanek w Wilnie, następnie przeniosła się do Państwowego Gimnazjum im. Elizy Orzeszkowej. W 1942 r. została wywieziona do Niemiec i poprzez więzienie w Heidelbergu trafiła do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Po wyzwoleniu przez wojska radzieckie, pracowała przez pewien okres jako tłumaczka rosyjsko-niemiecka – oba języki znała jeszcze z Wilna.

Do Polski wróciła w końcu sierpnia 1945 r. i zamieszkała w Katowicach. Po kilku miesiącach podjęła pracę w Polskiej Agencji Prasowej w charakterze redaktora nocnego, równocześnie była słuchaczką Uniwersytetu Jagiellońskiego na Wydziale Prawa, studiów jednak nie ukończyła. Z czasem rozpoczęła pracę we wrocławskiej „Gazecie Robotniczej”. W 1946 r., po wyjściu za mąż za Tadeusza Szafara, wraz z nim przez 10 miesięcy przebywała za granicą jako korespondentka tego pisma. Ze względu na zły stan zdrowia musiała rezygnować z dziennikarstwa i podjąć inne zajęcie, jednak artykuły do wielu gazet i czasopism pisała przez całe życie.

W 1957 r. wyszła powtórnie za mąż – za Seweryna Pytrusa – byłego lekarza wojskowego w stopniu kapitana. Wielokrotnie zmieniali miejsce zamieszkania, aż w 1978 r. przeprowadzili się na stałe do Wielunia, gdzie mąż otrzymał etat w szpitalu. Stan zdrowia nie pozwolił jej na podjęcie stałej pracy, pisała jednak nadal artykuły do gazet i czasopism. 1 września 1959 r. wstąpiła do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

¹ Na podstawie listy Ninon Pytrus do Litewskiego Czerwonego Krzyża z 17 VIII 1990 r. Kopia w posiadaniu syna autorki.

– oddział Katowice. Była członkiem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację – leg. nr 0241047 z dnia 7 marca 1984 r. oraz Związku Inwalidów Wojennych Rzeczypospolitej Polskiej – leg. nr 008338 z dnia 18 maja 1987 r. Posiadała Zaświadczenie o Uprawnieniach Kombatantów i Osób Represjonowanych – nr 264099 z dnia 12 grudnia 1993 r. Wstąpiła również do Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych – leg. nr 20884 z dnia 12 stycznia 1995 r.

Zmarła w Wieluniu 15 sierpnia 2000 r. i została pochowana na miejscowym cmentarzu.

Poznałem ją latem 1995 roku. W czasie kilkugodzinnego spotkania opowiedziała mi o swojej młodości, gehennie więzienia w Heidelbergu i obozu Ravensbrück. Wspominała Wilno, mówiła o swojej dziennikarskiej pasji, poszukiwaniach zaginionego w czasie II wojny światowej ojca. Kilka lat po jej śmierci znalazłem się w posiadaniu maszynopisów wspomnień z tych najczarniejszych dni jej życia.

W tekście wspomnień dokonano nieznacznych poprawek i zmian stylistycznych. Na ich publikację wyraził zgodę syn.

Cz.1.

NINON PYTRUS – WSPOMNIENIA

Pochodzę z dawnych kresów polskich, z Wilna. A więc okupacja niemiecka tych terenów rozpoczęła się dopiero po wypowiedzeniu przez Hitlera wojny Związkowi Radzieckiemu, czyli w czerwcu 1941 roku. Byłam młodą 16-letnią uczennicą szkoły średniej w chwili wybuchu wojny w 1939 roku. Ojciec mój, jak wszyscy polscy mężczyźni poszedł bronić Ojczyzny. Zostałam sama, byłam bowiem jedynaczką. W jednej chwili runął beztroski czas szczęśliwego dzieciństwa. Nagle stałam się dorosła. Ale w chwilach zagrożenia człowiek dojrzewa szybko. A życie stawało się coraz brutalniejsze.

Wejście wojsk hitlerowskich do Wilna poprzedziły parodniowe, ciężkie naloty na miasto. Od pierwszych dni okupacji rozpoczęły się aresztowania, łapanki, rewizje. Wysiedlano Żydów z mieszkań, aresztowano profesorów, szukano oficerów polskich i żołnierzy. Pewnego dnia dostałam wezwanie do Arbeitsamtu gdzie oświadczono mi, że zostałam wyznaczona na wyjazd do pracy w głąb Rzeszy. Kazano mi za trzy dni zjawić się z wypełnionymi drukami i metryką urodzenia. Rzecz jasna, nie stawiałam się w wyznaczonym terminie, natomiast zmieniłam adres zamieszkania. A że podobnie postąpiło wielu młodych ludzi, urządzano w mieście łapanki na młodzież. Po paru miesiącach wpadłam i ja w ręce żandarmów. Zawieziono nas natychmiast na punkt zbiorczy przy dworcu, gdzie trzymano już pod strażą w zamknięciu, dziesiątki ludzi, w tym młodzież. Dzięki pomocy kolejarzy daliśmy znać najbliższym, gdzie jesteśmy. Po dwóch dniach załadowano nas w towarowe wagony i wśród płaczu wyjeżdżających i rodzin ruszyliśmy w nieznaną drogę i przyszłość.

Gdzie nas wiozą? Co z nami będzie? Pytania te odbierały nam trochę spokój, ale byliśmy młodzi, wierzyliśmy, że jakoś damy sobie radę i szybko wrócimy do domów. A podróż z każdym dniem stawała się coraz uciążliwsza. Przepełnione do granic wytrzymałości wagony nie pozwalały oddychać, dokuczalo pragnienie, nie mówiąc o elementarnych potrzebach higienicznych. Słabsi, a przede wszystkim starsi, mdleli, ale nikt ze strażników nie zwracał na to uwagi. Chwilę ulgi przynosił postój pociągu z powodu bombardowań miast i stacji kolejowych na trasie naszego transportu. Podróż stawała się coraz dłuższa. Musiano bowiem z powodu nalotów, zmienić kierunek i trasę docelowej jazdy. Na jednym z postojów podsłuchaliśmy rozmowę kierownika transportu ze strażnikami. Dowiedzieliśmy się, że z powodu silnych bombardowań cały transport skierowany został do Wiednia, a stamtąd prześlą nas do fabryki amunicji.

W pierwszej chwili wiadomość ta ścięła nas z nóg. Co robić? My przecież nie będziemy i nie możemy pracować w fabryce amunicji. Nie będziemy przecież pomagać nazistom w prowadzeniu wojny. Część z nas postanowiła uciec z transportu w Austrii. Jeden z kolegów znał adres wiedeńczyka, starego przyjaciela jego ojca i wierzył, że nam pomoże. Przyłączyłam się do jego grupy i czekaliśmy teraz na okazję. Wreszcie przyjechaliśmy do Wiednia. Korzystając z dużego ruchu, a szczególnie wykorzystując czas wydawania przez siostry Czerwonego Krzyża gorącej herbaty i chleba, udało mi się wejść w tłum i wyjść z dworca. W umówionym miejscu spotkało się nas 7 osób. Po długiej pieszej wędrówce – nie mieliśmy przecież pieniędzy – błądząc trochę dotarliśmy wreszcie do celu.

Wiedeńczyk nie zawiódł nas. Był lekko wystraszony nami, ale pomógł. Trójka z nas została parę dni u niego, a resztę jeszcze tego samego dnia wywiózł gdzieś pod Wiedeń. Ja zamieszkałam u jego siostry na peryferiach Wiednia, w dużym domu z ogrodem i pracowałam u nich w stolarni. Po paru tygodniach dostałam oryginalny dowód na fałszywe nazwisko i imię (Genowefa Krause), ale z prawdziwymi danymi personalnymi. Miałam i udawałam Bombenbeschädigte [poszkodowana w wyniku bombardowań] z Prus Wschodnich. Niestety sąsiedzi zaczęli zwracać uwagę na tę rodzinę i odwiedzających ją gości. Musiałam opuścić ten dom. Dostałam list polecający do przyjaciółki pani domu w Berlinie. Ale ten adres był pechowy. Mąż tej pani został świeżym członkiem partii nazistowskiej i był bardzo przejęty swoją rolą. Musiałam udawać chorą aby jak najmniej mówić. Za to pani Erika zajęła się mną serdecznie. Po kilkudniowym wypoczynku, zaopatrzona w jedzenie, jakieś ubranie i pieniądze wysłała mnie do samotnie mieszkającej i potrzebującej opieki ciotki w Heidelbergu. Nie wiedziałam, że jadę naprzeciw swemu przeznaczeniu. W Heidelbergu spotkała mnie ostateczna klapa. Pani, do której przyjechałam, zmarła przed tygodniem. Na szczęście autentycznie już zrozpaczoną Bombenbeschädigte z Prus zajęli się sąsiedzi. Okazało się, że niedaleko jest wolny skromny bez wygód pokój z wejściem ze schodów. Byłam szczęśliwa, miałam dach nad głową. Po paru dniach znalazłam pracę w biurze Gutenberg-Druckerei. Firma ta pracowała w czasie wojny na potrzeby armii. Drukowano tam i wydawano

wszystkim formacjom i jednostkom wojskowym, gdziekolwiek by były, różne druki jak np.: książeczki wojskowe, karty urlopowe, przepustki itp. potrzebne dla wojska druki. Wiele z nich przeszło w inne ręce pomagając uciec, zagrożonym z rąk hitlerowców.

I oto pewnego dnia wracając z pracy odczułam, że ktoś mi się dość natarczywie przygląda. W szybie okna wystawowego zobaczyłam mężczyznę, oglądającego mnie uważnie. Chciałam szybko przejść na drugą stronę i wejść w pierwszą przecznicę. Nie zdążyłam daleko odejść, gdy ktoś położył mi rękę na ramieniu i usłyszałam słowa: „Geheimpolizei, proszę o dokumenty”. Zrobiło mi się zimno i bardzo smutno. Zapytał o nazwisko, nie otwierając dowodu. Odpowiedziałam. Patrzył na mnie drwiąco i kazał iść ze sobą. Szłam patrząc na ludzi, ale nie słyszałam ich głosów ani gwaru miasta. Tak jakby nagle ucichło wszystko dokoła. Doszliśmy wreszcie do podnóża zamku i zatrzymaliśmy się przed ciężką bramą. Zadzwoił i gdy ukazał się strażnik, wiedziałam już, gdzie jestem. Świat zawirował mi przed oczami. Zostałam aresztowana 26 listopada 1943 roku.

Osadzono mnie w celi 17 z zaznaczeniem: ścisła izolacja. Czułam się jak ptak złapany w klatce. Wszystko było przerażające. Zakratowane okno, mała cela na parę kroków, drażniący brzęk kluczy strażników i ich kroki, odbijające się trwożliwym echem na korytarzu. Przez parę tygodni nikt z gestapo nie rozmawiał ze mną. Nie wyprowadzano mnie na spacer, nie dostawałam gazet, nie dopuszczano do żadnego kontaktu z innymi więźniami. Mój kontakt ze światem to był maleńki skrawek nieba widoczny z zakratowanego wysoko w górze okna celi. I czasem wizyty naczelnika więzienia, pana średniego wieku i wzrostu, ze złotą odznaką partyjną w klapie. Wchodził do celi i mrużąc oczy przepowiadał mi najgorszą przyszłość. „Ty masz freche Augen” [zuchwały wzrok] powtarzał, ale to już niedługo. Ja natomiast zastanawiałam się, co gestapo chce ode mnie. Nie wiedziałam i nawet nie przypuszczałam, że szukają tych, co uciekli, że za nami poszły listy gończe, bo przecież w pociągu zostały nasze dokumenty i zdjęcia. A uciekło dużo młodych ludzi.

Dusiłam się w tej samotności i niepewności. Mówiłam do siebie, modliłam się, przypominałam wiersze ze szkolnych książek, aż zaczęłam bać się własnego głosu. I oto pewnego popołudnia wezwano mnie na przesłuchanie. Trzech panów z gestapo od razu uprzedziło mnie, że znają moje prawdziwe nazwisko i wiedzą skąd pochodzę. Większość z tych co uciekli już została aresztowana, a ja mam tylko powiedzieć, z kim uciekłam w Wiedniu i dlaczego. Kto tam nam pomógł i kto wyrobił mi te dokumenty. Czy mogłam zdradzić człowieka? Narazić jego i całą rodzinę na prześladowania? Moja odpowiedź nie zadowoliła gestapowców. Przy pierwszym przesłuchaniu wybito mi dolne zęby trzonowe, rozbito głowę i poraniono ręce i plecy pasem. Na szczęście tylko pierwsze razy bołą a potem człowiek nic nie czuje i leci gdzieś w przepaść. Jak trafiłam z tego przesłuchania do celi nie wiem. Obudziłam się na zimnej posadzce w celi zlaną wodą. Nie udzielono mi w więzieniu żadnej pomocy – ani ludzkiej, ani lekarskiej.

Drugie przesłuchanie odbyło się po tygodniu. I znowu te same pytania i groźby w razie braku odpowiedzi. Pobito mnie tym dotkliwiej, że rozerwały się niezagojone rany z poprzedniego przesłuchania, skaleczono mi biczem nogi. Zaczęłam się bać, czułam się jak zaszczute zwierzątko.

Strach jest jednym z najgorszych chyba uczuć na świecie, a ja byłam już przerażona. Trzecie i ostatnie przesłuchanie było równie okrutne jak poprzednie. Złamano mi nos, podbito oczy i znowu rozdrapano rany. Do celi dowlekli mnie strażnicy. I kiedy padłam jęcząc na ziemię, ktoś podał mi wodę, dźwignął i pomógł wypłakać się. W celi znajdowała się już druga więźniarka: pani Frey spod Heidelbergu. Starsza, siwa, szczuplutka, o dobrych jasnych oczach. Wspaniała człowiek o wielkim sercu pełnym dobroci – antyfaszystka. To ona nauczyła mnie wierzyć w ludzi. Nauczyła także wierzyć, że w jej kraju są też inni ludzie, nie tylko faszyci. Uczyła mnie walczyć o każdy dzień życia, aby przetrwać ten koszmar. Odeszła wcześniejszym transportem gdzieś do obozu. Do dziś jest w mojej pamięci i sercu i ze wzruszeniem przypominam jej postać. Chyłam także czoło przed pamięcią o drugiej współtowarzyszce celi, niemieckiej więźniarce. Tygodnie spędzone z nią w celi nr 17 w Heidelbergu pozwoliły wrócić mi do równowagi. Wywołano ją nagle w nocy z celi i podobno została rozstrzelana.

Na parę dni przed zesłaniem mnie do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück naczelnik więzienia, oznajmiając mi tę decyzję, powiedział, że wysyłają mnie tam, skąd nie ma już powrotu. A ja wróciłam. Przeżyłam piekło, chociaż wróciłam okaleczona fizycznie i psychicznie.

Z w y c i ę ż y ł a m ! Ż y j ę !

Cz. 2.

NIEMALS WIEDER

Z więzienia w Heidelbergu jechałem do obozu transportem etapami, „zwiedzając” po drodze kilka innych więzień. Skutych prowadzono nas z dworca do więzienia i następnego dnia po zabraniu innych do obozu, jechaliśmy dalej. Z każdym dniem transport powiększał się, a przewożono nas w warunkach gorszych niż bydło. Pociaszaliśmy się nawzajem, że w obozie będziemy mieli więcej przestrzeni, że zobaczymy niebo, drzewa i zieleń, że będziemy mogli pracować. Jakże gorzko przeklinałem nieraz bezlitosne niebo nade mną. Nie miałam sił zachwycać się przyrodą, a hasło obozowe ARBEIT MACHT FREI – nie przynosiło wolności tylko... śmierć.

Czy można opisać życie w obozie? Nie, nie ma słów, które mogłyby oddać groźbę tamtych dni, walkę o życie i godność człowieka w kaźniach hitlerowskich obozów. Każde

słowo, wypowiedziane na ten temat, powinno ociekać krwią lub zawodzić jak dzwon żałobny ku przestrodze ludzkości. Do obozu, a raczej jakiejś stacji, dowieziono nas wreszcie w lipcu 1943 roku późnym wieczorem. Konwojenci transportu z przeraźliwym wrzaskiem każą nam szybko wyładować się z pociągu. Popędzane kopniakami, ogłuszone wrzaskiem i przerażone wyskakujemy prawie prosto w ręce stojących gestapowców z warczącymi groźnie psami i kobiety w czarnych pelerynach. Nic ze strachu nie rozumiemy, co się do nas mówi. Instynktownie przy okrzykach „Verfluchter Mist”, „Schneller, Rrraus” wskakujemy do podjeżdżających ciężarówek. Ściśnięte do granic wytrzymałości jedziemy, aby po niedługiej chwili wysiadać, przy jeszcze większym wrzasku i ujadaniu psów. Za nami zamyka się brama obozu koncentracyjnego Ravensbrück.

Przekroczywszy bramę obozu przestałeś być człowiekiem. Jesteśmy tylko numerami, a o naszym życiu czy śmierci decyduje załoga esesmańska obozu. Noc spędzałyśmy w jakiejś łaźni bez światła i nawet odrobiny wody. Rano musimy zdać wszystkie rzeczy, jakie mamy przy sobie, łącznie ze złotem, jedzeniem, cywilnym ubraniem i bielizną. Potem ogolone na tyso, ubrane w brudne i śmierdzące pasiaki w ciężkich drewniakach na nogach, byliśmy już strzępem, wrakiem dawnego człowieka. Każdego zugenga [od der Zugang] czyli świeżo przybyłego do obozu więźnia, czeka kilkutygodniowa tortura kwarantanny. Uczono nas na bloku kwarantanny życia w obozie i posłuszeństwa. Nie wolno było rozmawiać, musiałyśmy siedzieć na ziemi i wykonywać polecenia sztabowej lub aufzejerki [die Aufseherin, nadzorczydni, strażniczka] poparte najczęściej kijem. 400 stłoczonych kobiet w potwornym zaduchu coraz bardziej podobnych było do manekinów, ogłupiałych i odrętwiałych. Już ta wstępna musztra obozowa, dla wielu kończyła się tragicznie. Na zakończenie otrzymywało się przydział do bloku i sztuby. Zaczynało się codzienne życie obozowe.

Jak można opisać grozę i koszmar tamtych dni, pracę ponad siły i głód ściskający żołędziek i rozrywający wnętrzności. Lub jak opisać apele zaczynające się o piątej rano bez względu na porę roku i pogodę. Apele ciągnące się bezlitośnie długo, aż blok po bloku zostanie przeliczony i komendant przyjmie ostateczny raport. Drętwialiśmy z zimna w mrozy cieniutkich pasiakach lub mokłyśmy na deszczu, marząc, aby ziemia roztopiła się pod naszymi nogami.

Po apelu ruszało się kolumnami do pracy. Vorwärts, Schneller, verfluchten Hunde – tymi przekleństwami i kijami poganiali nas, aby przyspieszyć wymarsz do pracy. Kto padał, najczęściej nie podnosił się więcej z ziemi. Na początku pracowałam w Steinkolonie przy budowie osiedla dla załogi esesmańskiej. Nosiłam z koleżanką nosze z ceglami. Po paru godzinach ręce krwawiły, a skóra z trudem odrywała się od ramion noszy. Szybko ładowałyśmy cegły skrwawionymi rękami i szybko biegłyśmy z nimi na miejsce przeznaczenia. To nic, że oczy zalewały się łzami, strach był silniejszy od bólu. Wiedziałyśmy bowiem, jak ginęły inne koleżanki zatłuczone lub pogryzione przez psy. Na szczęście współtowarzyszka, nosząca ze mną cegły, była też młoda. Dzięki pomocy

starych więźniarek – Polek, dostałam się po tygodniu do kolumny pracującej w Efektenkammer – magazyn odzieżowy. Liczyło się tam i sortowało ubrania, futra i cały dobytek zabrany więźniom. Jak na warunki obozowe, była to wspaniała praca pod dachem, bez gonitwy. I gdy wyleczyłam rany rąk przeniesiono mnie do kolumny pracującej nocą w Politische Abteilung [wydział polityczny]. Zadaniem naszym było wypełnianie druków z zawiadomieniem o śmierci więźniarek i więźniów z Ravesbrück, Oranienburg i filii obozowych. A powody śmierci były tylko dwa. Raz pisaliśmy, że umarła na atak serca; innym razem, że z powodu gruźlicy. Nie lubiłam tej pracy – rozklejała. Z miejsca, gdzie pracowałyśmy blisko było do krematorium, a w nocy kończyli palenie ludzi, względnie przygotowywali piece na ranną zmianę. Po kilku tygodniach przerzucono mnie do pracy w oddziale Siemens. Taśma, blachy, całe stosy blach – oczy zachodziły mgłą i ten zgrzyt maszyn i blach, czułam, że ginę. Opadam z sił i nie mam ochoty żyć.

Na szczęście widzi to przyjaciółka, widzą to starsze więźniarki z polskiego bloku. Pomagają podnieść głowę, nie dać się zaszcuć. W czasie całego pobytu w obozie, ratują nas przede wszystkim silne więzy koleżeństwa i pracy intelektualnej na polskich blokach. Krążą strzępy literatury, odbywają się wieczorki poezji, odczyty literackie, dyskusje i akademie okolicznościowe. Starsze koleżanki uczą nas młodych historii, języków obcych, a nawet śpiewu. Przypominamy szkolne czytanki, wiersze i piosenki. I chociaż kradniemy sobie godziny snu, chwile odpoczynku – jest nam lżej. To pomaga żyć, bo to jest nasza walka o prawo do człowieczeństwa.

Jak przekazać i opisać drżenie serca i strachu przed selekcją do komory gazowej? Komisja, najczęściej z doktorem Winkelmannem w otoczeniu aufzejerek z psami zjawiała się nagle o różnych porach dnia i stawała między blokami. A więźniarki z odkrytymi głowami i podniesionymi wysoko sukienkami rozpoczynały galopem przemarsz. Był to makabryczny taniec o życie. Kto nie miał siły szybko przejść, miał wynędzniałą i schorowaną twarz, siwe włosy, a przede wszystkim obrzmiałe nogi – kwalifikował się do krematorium. Znak ręką doktora Winkelmanna w stronę bloku – oznaczał życie, a znak ręką w bok... to była śmierć. Wiadomość, że na teren obozu wchodzi komisja zapierała dech i paraliżowała.

Zniszczyć, zaszcuć, poniżyć człowieka było głównym zadaniem hitlerowskiego faszystowskiego. Pędzono nas nagie do badania zębów, gardła lub do przeglądu rąk, czy nie mamy świerzbu. Zgrają wykarmionych esesmanek i esesmanów rechocze radośnie, robiąc głośne uwagi, patrząc na wychudłe szkielety. Na przemarsz cieni ludzi, karmionych zgniłą brukwią z robakami. Ile sadyzmu było w tych ludziach. A nasze życie było przecież w ich rękach. Jak nisko upadł w tamtych czasach człowiek, a etyka i ideały straciły swoją wartość. Faszystowski lekarz przynosił tylko śmierć. Przecież z rąk tych lekarzy umierały więźniarki „króliczki” w czasie pseudonaukowych doświadczeń, umierały więźniarki i nowo narodzone dzieci od zastrzyku fenolu, lekarz był głównym selekcjonerem do komory gazowej. Esesmanki, nasze aufzejerki potrafiły kijami zatłuc więźniarkę. Nawet psy od wieków zaprzyjaźnione z człowiekiem, w rękach morder-

ców stawały się wrogami ludzi, rozszarpały ciała jak sępy. Nasi opiekunowie w obozach z całym poświęceniem realizowali ludobójczy program wobec podbitych narodów z poświęceniem, a nawet osobistym zaangażowaniem.

Na szczęście przeżyłam. 28 kwietnia 1945 roku ewakuowano obóz. Byłam chora i nie miałam sił do drogi. Poszłam jednak razem w szeregu z tymi, z którymi dzieliłam dołę obozową. Nawet ostatni marsz rozpoczęliśmy pod eskortą uzbrojonych esesmanów i aufzejerek z psami. Na drugi dzień nasi opiekunowie uciekli. Same poszłyśmy dalej i dotarliśmy do Rostocku. Pierwsze patrole radzieckie – zerwany numer obozowy ręką żołnierza, łzy radości – WOLNOŚĆ

X X X

Od tamtych ponurych przeżyć minęły już 43 lata. Ale wspomnienia o nich pozostały we mnie. Nie, dlatego, że dziś „płacę” za ten schutzhaft [die Schutzhaft, areszt prewencyjny, wyrażenie użyte z ironią] w Ravensbrück. Wróciłam przecież z rozedmą płuc, wadą serca i z chorobą wrzodową dwunastnicy. Rozwinęła się astma i niedomaga serce. Jestem po resekcji żołądka. Nie chodzi tu o zemstę czy nienawiść. To jest po prostu we mnie. Wystarczy zamknąć oczy, a widzę maszerujące szeregi pasiaków kaleczących nogi o ostry żwir obozowej drogi. Widzę zboliałe twarze moich koleżanek.

Do dziś kupuję więcej chleba niż mi potrzeba dla rodziny, a każdego wilczura omijam z daleka. Dźwięk syreny alarmowej budzi zawsze niemiłe skojarzenia. Często budzę się w nocy ze strachem. Męczą mnie lęki obozowe. Nie wszystko mija bez echa. Tego nie można po prostu zapomnieć.

– *Więzień nr 45705* –

Memoris of Ninon Pytrus. Prepared for printing Adam Ustyniak

The author of the memoirs (b. 1923) during the occupation escaped from the transport that was going to forced labor camp. When she was caught she was in prison on remand then taken to Ravensbruek concentration camp. The camp experiences had an impact on her psyche. With their nightmare and diseases acquired during her stay in prison and camp, she struggled for her life.

Translated by Agnieszka Włodarczyk